

Pablopavo i Ludziki, Krzysiek

Był sobie Krzysiek szczupły jak słońca promyk
nadawał imiona światom nieznanym.

A świat ten miał cały ze szkła
płynął po nim jak po rzece Wiśle kraj.
I codziennie topniał i było go mniej
mimo to ciągle wołaj ej, ciągle mnie grzej,
bo choć maleję to widzę i czuję więcej
patrz biorę całe miasto w patykowate ręce

Nie idź, nie wracaj, nie kręć się w miejscu
Krzysiek zrozumiał nie ma go i jest tu
Jest tutaj obok na to raz zewnątrz
jest trochę z nikim trochę z Tobą i ze mną.

Śmiali się z niego na przystankach Mokotowa
nic dziwnego na każdego durnia tylko jedna głowa
A Krzysiek miał głów ile tylko chciał
i chociaż czasem wyglądał jakby na stojąco spał
to w każdej z tych głów miał zapomniany język
i gadał w tych językach jak armeński wierszyk
jeden dla ptaków i jeden dla traw
kolejny dla wiatrów i tylko dla spraw ludzkich
nie miał języka ni krzytyny i bili go chłopaki z tej cichej przyczyny
a on obcierał brew i jak rzeźba wyglądał
tego co trochę dawniej tego świata doglądał

W połatanych spodniach z domu puszczał go ktoś
by nadstawiał dłonie na monety jak trzos
równie dobrze mogliby wysłać kota
Krzysiek stał w słońcu i tyle kumał ze złota
nawet te bułki co mu wciskały staruszki
momentalnie przerabiał na okruszki
stał w kręgu wróbli jak świata środek
choć krzyczeli za nim NIEDOROBK

Aż któregoś dnia nie przyszedł na przystanek
Bez Krzyśka ledwo ledwo rozpoczął się ranek
i stało się i jak w dzień pusty i bezwonny
od tego dnia Mokotów jest bezbronny /x5